

REJESTR DOTYCZY:

..... CZABAN-GOLDMAN Maria
..... wdowa po adwokacie Wacławie Goldma-
s/c i nie

z d.

..... W

kraj:

✚ W

kraj:

pochowany:

nr grobu:

Nr rejestracyjny

...../.....

Nota zamieszczona:

w tomie

części

I n d e k s

Copyright: 1970

B.O. Jeżewski

Źródła i bibliografia c.d.

znak rozpoznawczy



DZIEWCZYNNKA Z ZAPĄŁKAMI

Maria Czaban-Goldmanowa

Ilećroć ludzie wracali nad ranem z pracy i drzwi baraku otwierały się i zamykały po wiele razy, mała Anna budziła się ze snu i wyciągała rękę w stronę śpiącej obok matki. Ręka natrafiała na ciepło matczyne ciało i zaraz słychać było szep:

— Spij córeczko, śpij kochanie, mama jest przy tobie.

Ania westchnąwszy z ulgą zasyiała natychmiast i budził ją dopiero głos matki, która zupełnie już gotowa stała przed nią ze szklanką parującej herbaty.

Potem Ania siadała na twardej barłogu i pijąc herbatę patrzyła, jak matka wkłada dwa swetry i płaszcz, otula głowę chustką i uwiązuje drugą chustkę dla zakrycia ust. Bo choć to był początek listopada, tu na Syberii mróz już był ogromny. I aż do wieczora mama będzie w lesie na pracy.

I potem nadchodziła chwila szczęścia i smutku zarazem, gdy śliczna twarz matki rozjaśniała się uśmiechem i pochylała nad dzieckiem:

— Bądź zdrowa, dziecino, otul się dobrze, a ja cię sama umyję wieczorem. Wyczesz tylko włosy i zrób porządek na barłogu. Pod poduszką jest chleb z marmoladą dla ciebie, a herbatę ktoś ci zrobi, albo sama zagrzejesz na piecyku. Bądź dzielna, córeczko, i niech cię Bóg strzeże.

I znikła szybko we drzwiach.

W baraku było jasno, gdyż żarówka paliła się bez przerwy, dzień i noc. Ale na dworze było jeszcze zupełnie ciemno, dzień zaczynał się po 10 rano. Więc mała Anna leżała jeszcze, patrząc jak ludzie jeden po drugim przesuwaliby się w wąskim przejściu między barłogami i spiesząc się znikali w ciemnościach. Zostawali w baraku tylko ci, co pracowali w nocy i spali w dzień, a także pani Ilczuk, chora staruszka, która już pracować nie mogła, i pani Bogucka z dwójkiem malutkich dzieci.

Następnie Anna wstawiała i starała się zrobić porządek najlepiej jak umiała, wedle sił swoich sześciu lat. Miotłą zamiatała pasek wiecznie brudnej podłogi między barłogami, układała

w Rosji, co się stało z resztą staruszka nie wiedziała. Ale żyła nadzieją, że ich jeszcze zobaczy, że Bóg nie pozwoli karać tak dobrych dzieci. I opowiadała Ani o każdym z nich z osobna. O ich dzieciństwie, o ich życiu w szkole, a nieraz o mężach dwóch starszych córek i o wielbicielach młodszych. Że to pan Jan na pewno ożeni się z Janką, a pan Józef z najmłodszą Stefanią, a wtedy będzie miała znowu wnuki.

Ania kiwała głową ze zrozumieniem.

— Byle nie w baraku — mówiła wtedy z ogromną powagą.

— Dzieci w baraku to straszny kłopot.

— Ale chyba wojna się skończy — dodawała i patrzyła dużymi oczyma na swą sędziwą przyjaciółkę.

— Tylko kiedy? — żaliła się pani Ilczuk.

— Zapytam mamę — odpowiadała wtedy Ania.

W południe ukazywało się na kilka godzin ogromne słońce i mimo wielkiego mrozu było pięknie wśród wysokich gór, gęsto pokrytych śniegiem. Na białym śniegu wokół baraku stały wysokie, smukłe, czarne drzewa. Pasiate wiewiórki, burunduki, skakały wesoło na gałęziach, a białe zajączki smykały jak skaczące kulki śniegu. Pan Bogucki schwytał raz zajączka i dał Ani skórę, a mama w jakąś niedzielę zrobiła jej z tego białą czapeczkę. W tej to czapeczce na jasnych włosach i chusteczce na plecach biegała dziewczynka przez chwilę na zimnym słońcu, prosząc je by zaszło jak najprędzej za góry, by mama mogła wreszcie wrócić z pracy.

Lecz mama wracała późno, tak głodna i zmęczona i tyle miała jeszcze roboty przed spaniem, że tylko na chwilę zajmowała się dzieckiem, gdy myła je, a potem karmiła tym, co zdołała dostać w sklepiku stojącym w kolekcje na mrozie po swój przyzdył roboczy. Długo trwało gotowanie na piecyku, gdzie tyle stało innych jeszcze garnuszków. Ledwo mała Ania zjadła, już była śpiąca i mama pomagała jej rozebrać się

zbudzi, będzie już przecież jutro.

Lecz jutro mama też nie wróciła, ani pojutrze, dopiero w niedzielę pan Janek zabrał ją do szpitala do mamy. Nie było to daleko. Trzeba było zejść z górki, na której stał barak, minąć domek, gdzie była stołówka, potem domek lekarski, a tuż obok był większy drewniany budynek: szpital. Ania włożyła swą białą

mama palić nie mogła, krztusiła się.

Minęły dwa tygodnie i co niedziela Ania szła do mamy. Lecz mama coraz mniej mówiła. Gdy Ania spytała, co będzie z Bożym Narodzeniem, bo przecież trzeba będzie coś przygotować, a może nawet już wyjeżdżać, mama wcale nie odpowiedziała. I nawet nie sprawdzała tak jak zwykle, czy



Rysowała Irena Ludwiga

czapeczkę i chustkę na swój niebieski płaszcz, a Marcysia uwiązała jej szalik na ustach, by nie odychała na mrozie.

— Klucze jak szpilkami — powiedziała.

Mama leżała na żelaznym łóżku i jeszcze trzy chore Rosjanki były w tym samym pokoju. Była bardzo blada i jakby zmarła. Lecz ucieszyła się ogromnie na

dziecko dobrze wygląda. Ania była krótko, bo Marcysia, która tym razem z nią poszła, mówiła, że mama jest zmęczona.

W ten sam niedzielny wieczór weszli do baraku dwaj sowieccy komendanci obozu. Obchodzili barłogi, mieli do omówienia jakieś nowe rozporządzenia, czy też rozkazy. Zatrzymali się przy barłogu Ani i gdy starszy z nich

— Hahaha — roześmiali się obaj wesoło.

A potem komendant rzekł coś o domu dziecka, gdzie będzie miało ciepło i opiekę i naukę.

— Na was tołożyć nie warto — zwrócił się do stojących w milczeniu oswiałych ludzi, ale ta mała pójdzie do ruskiej szkoły, nauczy się naszych nauk i wyrośnie z niej dobra obywatelka sowieckiego sojuza.

Z tymi słowami wyszedł, a za nim jego kolega. Ania nie nie zrozumiała z tej rosyjskiej przemowy, lecz po ich odejściu ludzie byli podnieceni i wciąż patrzyli na nią.

— Nie da się dziecka — koniec — rzekła Marcysia, — Może ojciec przeżyje, jak by ją później odnalazł, małe dziecko w ogromnej Rosji?

— Wychowam ją ze swoimi — rzekła pani Bogucka.

Pani Ilczuk wstała ze swego barłogu i podeszła do Ani.

— Nie bój się, małeńka — rzekła. — Będziemy cię wszyscy bronić, by cię ci mordercy nie zabrali do tej swojej rosyjskiej szkoły.

I nagle Ania zrozumiała. Zbladła, krzyknęła i zachwiała się. Gdyby nie podbiegł szybko wysoki pan Jaś, byłaby upadła na brudną podłogę. Ale tą bladą i tym nagłym krzykiem znać ją się chwila narodzin w jej małym serduszkach nieznanego jej dotąd uczucia: strachu.

Boże Narodzenie było za pasem. Pani Ilczuk wstała ze swego barłogu i mimo bólu w nogach schylała się, by zajrzeć do skarbów w swej walizeczce, specjalnie na ten dzień chowanych. Było tam trochę suszonych grzybów, mały woreczek z mąką, trochę cukru. I mówiła do Ani jak to ona przyprowadzić będzie te świąteczne potrawy. Może jeszcze śledzia dowiozą do sklepiku, to będzie i ryba. A ty, dziecko, ze mną będziesz na wili Bożego Narodzenia. Będzie nam obydwom weselej.

— A mamusia? — pytała dziewczynka.

— Jeśli wróci na czas, zje wile razem z nami — beznadziejnie

mamy, że musi być dzielna i nad nią jest zawsze opieka Boska. Zaczęła więc powieki i szep

— Matko Święta, doproś mnie do mojej mamusi.

Widocznie jej prośba została wysłuchana, bo gdy otworzyły się drzwi, oczy nie było już wcale tak ciemno. Na niebie paliły się miliony ogromnych gwiazd i jasność słońca od bieli śniegu. A w dole płonęły światła fabryki, którą budowali bez przerwy dniem i nocą. Trzeba tylko zejść z górki, na której stoi barak, w kierunku tych światel. Ania wiedziała, że drewniany budynek szpitalny jest obok budującej się fabryki. Zaczęła iść w dół. Raz pośliznęła się i upadła, lecz zaraz wstała, namacawszy tylko czy nie wyśliznęła jej z kieszeni paczka z pierosami i zapalki.

— Jakżeż się mama ucieszy — myślała. — Tak marzyła o pierosach!

Było bardzo zimno, więc dziewczynka zaczęła biec i tak biegnąc dopadła wreszcie drzwi szpitala. Poznała te duże drewniane drzwi, w które wchodziła zawsze pełna tęsknoty i szczęścia. Odmknęła je i jednym szybkim krokiem trzasnęła.

Lecz drzwi były zamknięte, szpital ciemny. Więc Ania stuknęła cicho — by nie budzić chorych. Nikt nie odpowiedział. Po chwili zapukała głośniejszym, drewniany dom stał nadal ciemny, obojętny i nieczuły. Postanowiła więc poczekać aż otworzą. A że było jej bardzo zimno, zapaliła zapalkę. Zapalka zapłonęła i zgasała.

— Tyle jest zapalek w pudełku — myślała Ania — że mamusia ich nie zabraknie.

Zapaliła więc równocześnie dwie zapalki. A gdy zgasyły, wzięła skostniałą rączką całą paczkę i garść z dużego pudełka. Zapaliła je i jasnym blaskiem i napływu otworzyły się drzwi i wyszła z nich mama z uśmiechem na twarzy. I dziewczynka usłyszała szep:

— Spij córeczko, śpij kochanie i wtedy Ania zamknęła drzwi.

Wczesnym rankiem dożyła

którzy się przykrywały, i największe z nich palto tatusia. Mama wzięła ze sobą to palto duże i ciepłe w tę piękną letnią noc, gdy je bolszewicy zabierali z domu. Poprzedniej nocy zabrali tatusia Ani; żeby choć ich byli zostawili razem!

Robiąc porządki, cerując ponczochoy, Ania myślała często, co też zrobili z jej ojcem. Czy nadal, tak jak w domu, leczu ludzi chorych? Czy też tak jak wszyscy tutaj mieszka w baraku i pracuje w lesie lub w kopalni? Czy jest może w cieplejszych stronach? I kiedy będzie mógł wreszcie do nich napisać?

A potem myśli jej szły do lalki Basi i do pieska Żarcika. Mówiła mama, że cioci nie wywieźli, więc na pewno się Basią i Żarcikiem zaopiekowała, i że ciocia zna już ich adres i — mama mówiła — na pewno pośle im wkrótce paczkę. Co też będzie w tej paczce? — myślała mała Anna. — Czy ciocia będzie pamiętać o cukrze i o śmietankowych cukierkach, za którymi obie z mamusią przepadają?...

Po skończeniu zajęć szła do małych dzieci pani Boguckiej. Dawniej bawiły się z nią i cieszyły się na jej widok. Ale ostatnio zabawa z nimi się nie udawała, były coraz bardziej niespokojne i płakliwe, a trzeba było uważać, by nie marudziły, bo wtedy ludzie śpiący po ciężkiej nocnej pracy budzili się i złościли, że nigdy odpocząć nie mogą. I pani Bogucka mówiła wtedy niecierpliwie:

— Idź, idź już dziecko, jest jeszcze gorzej, gdy cię widzą, zupełnie sobie wtedy rady z nimi dać nie mogę.

Więc Ania szła na pogawędkę do pani Ilczuk.

Pani Ilczuk była wdową, ale bynajmniej nie była w Polsce samotna, miała ośmioro dzieci i wszystkie już dorosłe, najmłodszy z nich Janek miał 25 lat. Trzech synów poszło na wojnę z Niemcami, zaś córki umieściły starą matkę u jej siostry, by miała opiekę na wypadek, gdyby same zostały aresztowane lub wywiezione. Któż by przypuszczał, że zechcą wywozić 70-letnią staruszkę, tylko dlatego, że była wdową po sędzim, który nie żył już 12 lat? Zabrali ją w tę samą noc co Anię i o jednej tylko córce miała wiadomość, że jest w więzieniu

nie swetry, bo nie miał piecyk w domu. W nocy, w drewnianym baraku hulał siwy mróz.

W niedzielę mama nie szła do pracy, ale miała zawsze mnóstwo roboty. Szyła, cerowała, nosiła pod górę lód z rzeki, by zebrałszy również trochę śniegu wyprać brudną bieliznę, lecz zawsze jeszcze znajdowała czas na rozmowę ze swą małą córeczką. Gdy kiedyś Ania zapytała, kiedy wrócą do domu, kiedy odnajdą ojca i kiedy mama przestanie wreszcie chodzić do lasu — dostała odpowiedź:

— Chyba na Boże Narodzenie, dziecino, nie myśl o tym na razie, uważaj na siebie, wszystko będzie dobrze.

Anna nie pytała więcej, zaraz rano zakomunikowała pani Ilczuk, że będą wracać do domu na Boże Narodzenie. Jeśli by miała jaką wątpliwość w tym względzie, pani Ilczuk rozwiłaby to natychmiast swą radością, z jaką powitała nowinę.

— Ja też tak myślę Aniu — rzekła. — Kiedy to Bóg bliżej jest człowieka jak nie na Boże Narodzenie? A nam bardzo pomocy Boskiej teraz potrzeba.

Tak to upływały listopadowe dni w baraku na Syberii w roku 1940.

Pewnego wieczora Ania na próżno wyczekiwała matki. Wrócili już wszystkie leśne brygady, tylko z maminej brygady nie było jeszcze nikogo. Ania nawet parokrotnie wybiegała przed barak, choć mama bardzo nie lubiła, gdy wychodzi w ciemnościach. Wreszcie zaczęli się schodzić: wysoki pan Janek, pan Bogucki i panna Marcysia, krawcowa.

— Gdzie moja mama? — spytała Ania.

Pan Janek odchrząknął i rzekł wolno:

— Twoja mama, Aniu, zostanie dziś na noc w szpitalu. Był wypadek w lesie, mamę drzewo uderzyło, kazała ci powiedzieć, że przyjdzie jutro, a dziś Marcysia zajmie się tobą.

Noc bez mamy! Ania stała jak wryta.

— Dopiero jutro... — wyszeptowała.

Lecz pani Bogucka zawołała ją do dzieci, a potem Marcysia dała jej talerz kaszy z margaryną i kawałek chleba z herbacą. I po mogła jej się rozebrać i włożyć swetry na noc, a gdy się Ania

— Pewno już wkrótce wrócę, córeczko — rzekła — a ty bądź grzeczna i dzielna. A potem dziękowała panu Janowi i kazała dziękować pani Boguckiej i Marcysi za opiekę nad jej małą i powiedziała, że Bóg wie co by dała za papierosa. Ale nikt nie miał ani na lekarstwo, a trawy suszonej w gazecie

— Ile masz lat? — zapytał. — Sześć — ktoś za nią odpowiedział. — Powinnaś już iść do szkoły — mówił dalej. To słowo „szkoła“ Ania zrozumiała. — Pójdę — rzekła — zaraz po Bożym Narodzeniu, gdy wrócimy do domu.

Następnej niedzieli Ania poszła do swej mamy, poszli ją odwiedzić oboje państwo Boguccy i dzieci zostawili pod opieką sąsiadki, czego nigdy dotąd nie robili. A gdy wkrótce wrócili, bardzo byli mili dla Ani. Pani Bogucka pogłaskała ją po głowie, a pan Bogucki mówił, że nauczy ją czytać, to jej nie będzie nudno. Na jej zapytanie o matkę odrzekł, że mama kazała ją uściśkać, że jest ogromnie zmęczona i że woli, by Ania nie wychodziła w tak wielki mróz. To właśnie było niemożliwe, to, że mama nie chce jej widzieć, i Ania słuchała tych wszystkich słów po raz pierwszy w życiu nieufna i ponura.

Dzień przed wilią nadeszła pierwsza, tak długo oczekiwana pocztą z kraju. I dla Ani i jej mamusi była paczka od cioci ze Lwowa. Pomogli jej otworzyć ten dar i czegoż tam nie było! Ciepłe sweterki, szaliki i rękawiczki, czekolada, kakao, lekarstwa, a również papierosy i zapalki.

Ania nawet nie obejrzała niczego, wyjęła tylko papierosy i zapalki i włożyła je w kieszeń swego płaszczyka. Nikomu już tu nie dowierzała. Musi sama pójść do szpitala, zobaczyć, czy mamusia wróci na Boże Narodzenie. Bo mogą przecież odesłać ją nagle do domu bez Ani.

Wieczorem dziewczynka zjadła kolację wigilijną z panią Ilczuk. Na barłogu staruszka położyła czystą serwetkę i podała Ani zupę zrobioną z jagód, zebranych jesienią i ususzonych, a do tego pierożki z grzybkami. Herbatę przyniosła Ani pani Bogucka. Marcysia dała jej dwa karmelki, a pan Jasio kawałek cukru. Lecz dziewczynka siedziała wśród życiowych sąsiadów smutna i bez słowa i zdecydowała, że pójdzie wcześniej spać.

— Biedactwo — wzdychali ludzie, patrząc jak gramoli się na wysoki barłóg. — Biedactwo.

W nocy dziewczynka zbudziła się, cicho wysunęła się spod kołowy, włożyła czapeczkę, płaszczyk, wsunęła na nogi flanelowe łapcie i wyszła na palcach. Nikt tego na szczęście nie dostrzegł. Gdy otworzyła bezszelestnie drzwi oświetlonego baraku, ogarnął ją mróz i zupełna ciemność. Zatrzymała się przeżona. Lecz pamiętała słowa

początku nie mógł się zorientować w ciemnościach co to też leżało pod progiem. Namacał futerko pomyślał, że może jakieś zwierzątko tu się schroniło i zamarało. Ale gdy poświecił latarkę, poznał, że to dziecko. Wziął więc na ręce i wbiegł z nim do kuchni, gdzie już siedząc przy piecem rozpalala ogień posługaczka Wera.

— Dziecko zamarało pod progiem — wołał. — Pewno czyjeś z tych polskich baraków. Dawno już jest martwe. Chyba zaniosę do trupiarni, tam już leży ta polska kobieta, co tu zmarła wczoraj.

Ale nagle zdumienie odmalowało się na jego szerokiej twarzy. — A po cóż ta mała zapalała? — pytał nieufnie. — Podpalić chciała szpital czy co?

Kobieta podeszła bliżej. — Głupstwa gadacie Piotrze — obruszyła się — Przecież to małe dziecko.

I gdy tak patrzyła na drobny, siną twarzyczkę na jasne włosy przypruszone szronem, na białe, władne rączki, przypomniała sobie nagle swoją własną córeczkę, którą niedawno pochowała. I zaczęła płakać. Jedną z tych łez spadła na twarzyczkę martwego dziecka. I z tą gorącą łzą inne, nieszczęśliwej matki na zimnym czołe odplynęła mała Anna z tego go padółu placzu i nienawiści. Krainę Wiecznego Spokoju.

Niechętnie i ospale wschodzili dzień Bożego Narodzenia. Był bardzo zimno. Mróz trząsał przydrożnych drzewach i drewnianych domkach, rozwałował trzaskiem głęboki lód na zamarzniętych kałużach, a te pękały rozlewając wokół wodę, która zmieniała się natychmiast na śliski lód.

Z baraków, jak codziennie, szli ludzie do pracy. W milczeniu snuli się w ciemnościach jeden z drugim, skureczeni, spieszący, przytupujący z mrozu i wymachujący rękoma dla rozgrzewki. Ich długie, czarne, milczące szeregi w konwulsyjnych podrygach wyglądały jak jakieś śmieszne i tragiczne marionetki pociągane czyjaś niewidzialną i okrutną ręką.

Niechętnie i ospale wschodzili w oparach gęstej mgły dzień Bożego Narodzenia.

Święto dziecka i święto miłości